

Marceli Weron [Bruno Schulz]: Undula

Musiały już upłynąć tygodnie, miesiące, od kiedy zamknięty jestem w tej samotni. Zapadam wciąż na nowo w sen i znów się budzę, i majaki jawy płaczą się z wytworami omroczy sennej. Tak upływa – czas. Zdaje mi się, że w tym długim krzywym pokoju już kiedyś dawno mieszkałem. Czasem odpoznaję te nad miarę wielkie meble, sięgające do sufitu, te szafy z prostego dębu, najeżone zakurzonymi gratami. Wielka, wieloramienna lampa z szarej cyny zwiesza się ze stropu, kołysząc się z lekka.

Leżę w rogu długiego żółtego łóżka, wypełniając zaledwie trzecią jego część moim ciałem. Są chwile, w których pokój oświetlony żółtym światłem lampy ginie mi gdzieś z oczu i czuję tylko w ciężkim bezwładzie myśli potężny spokojny rytm oddechu, którym moja pierś się miarowo podnosi. I w zgodzie z tym rytmem idzie oddech wszystkich rzeczy.

Sączy się czas mdłym syczeniem lampy naftowej. Stare sprzęty trzaskają i trzeszczą w ciszy. Poza mną w głębi pokoju czają się i spiskują cienie, śpiczaste, krzywe, połamane. Wyciągają długie szyje i zagląдают mi poprzez ramiona. Nie odwracam się. I po cóż by? Zaledwie spojrzę, będą wszystkie znowu ciche na swoim miejscu, tylko podłoga gdzieś zaskrzypi, szafa stara zatrzeszczy. Wszystko stać będzie bez zmiany, jak przedtem. I znów cisza, i stara lampa słodzi sobie nudę sennym syczeniem.

Wielkie czarne karakony stoją nieruchomo i patrzą bezmyślnie w światło. Wydają się martwe. Z nagła te płaskie bezgłowe kadłuby zaczynają biec niesamowitym krabim biegiem i przecinają na ukos podłogę.

Śpię i budzę się, i znów zasypiam, i wciąż przedzieram się cierpliwie skrós chorych zarośli majaków i snów. Płaczą się i wikłają, i wędrują wraz ze mną te białawe i miękkie gąszcz wybujałe, jak nocne blade pędy kartofli w piwnicach, jak potworne narośle chorych grzybów.

■

Może na świecie już wiosna. Nie wiem, ile dni i nocy upłynęło od tego czasu... Pamiętam ten szary, ciężki świt lutowego dnia, ten purpurowy korowód bakchan-tów. Skrós jakich błądych, przebulanych nocy, skrós jakich księżycowych parków podmiejskich nie leciałem za nimi, jak ćma oczarowana uśmiechem Unduli. I wszędzie widziałem ją w ramionach tancerzy, omdlewającą i przechyloną rozkosznie

Undulę w czarnych gazach i majteczkach, Undulę gorejącą oczyma za czarną koronką wachlarza. Tak szedłem za nią z palącym, słodkim szałem w sercu, aż mnie już nogi mdlejące nie chciały nieść dłużej i karnawał wypłuł mnie na wpół martwego na jakiejś pustej ulicy w gęstej omrocy przed świtem.

Potem te wędrowki omackiem, ze snem na powiekach po jakichś starych schodach, pnących się skrós wielu ciemnych piąter, przeprawy przez czarne przestrzenie strychowe, napowietrzne wspinania się po galeriach, chwiejących się w ciemnych podmuchach wiatru, aż wreszcie wchłonął mnie w siebie ten zaciszny, wiadomy kurytarz, gdzie znalazłem się u wejścia do mieszkania z lat dziecinnych. Nacisnąłem klamkę i z ciemnym westchnieniem otworzyły się drzwi do środka mieszkania. Owionął mnie zapach tych zapomnianych wnętrzy; z głębi mieszkania wyszła cicho dawna pokojówka Adela, stąpając bezgłośnie na aksamitnych korkach pantofelków. Jak wypiękniała przez czas mej nieobecności, jak perłowo białe były jej ramiona pod czarną rozpiętą suknią. Nie była wcale zdziwiona moim przyjściem po tylu latach; była śpiąca i opryskliwa. Widziałem jeszcze jej wysmukłe nogi o łabędzich konturach, oddalające się w czarną głąb mieszkania.

W półzmroku znalazłem omackiem niezaścielone łóżko i z mroczącymi się od snu oczyma utonąłem twarzą w poduszkach.

Głuchy sen przetoczył się przeze mnie, niby ciężki wóz, naładowany miałem ciemności, i zasypał mnie omroką.

Wtedy noc zimowa zaczęła się zamurowywać czarną cegłą nicości. Nieskończone przestworza tężały w ślepi i głuchą skałę, w ciężką, nieprzebitą masę, która zarastała przestrzeń między rzeczami, i świat stęzał w nicość.

■

Jak ciężko oddycha się w pokoju uwięzłym w kleszczach nocy zimowej. Czuje się poprzez mury i stropy ciśnienie tysięcy atmosfer ciemności. Powietrze jest jałowe i niepożywne dla płuc. Płomień lampy zarasta czarnymi grzybami. Puls staje się lekki i powierzchowny. Nuda, nuda, nuda. – Gdzieś głęboko w litej masie nocy idą z latarkami samotni ludzie czarnymi kurytarzami zimy. Zdaje mi się, że dolatują mnie ich beznadziejne rozmowy, ich apatyczne, monotonne gawędy. Unduła, Unduła spoczywa w swym pachnącym łóżku w objęciach ciężkiego snu, co wysysa z niej pamięć wszystkich orgij i szałów. Bezwładne i miękkie jej ciało, wyłuskane z ciasnoty gazy, majteczek i pończoch, wzięła ciemność jak wielki futrzany niedźwiedź pod siebie, zamyka je w czterech swych ogromnych łapach i zbiera jej białe, aksamitne członki w jedną słodką i miękką garstkę, nad którą dysze swym purpurowym językiem. A ona nieczuła, z oczyma w snach dalekich, daje się bezwładna pożerać ciemności, a przez żyły jej różane płyną mleczne drogi gwiazd, wypite oczyma w te zawrotne noce karnawałowe.

Undulo, Undulo, ty westchnienie duszy do krainy szczęśliwych i doskonałych! Jak rozszerzała się ma dusza tamtym światłem, gdym stał, Łazarz pokorny, u twych jasnych progów. Przez ciebie poznałem w gorącym dreszczu rozkoszy mą nędzę i szpetotę w świetle twej doskonałości. Jak słodko było wyczytać z jednego spojrzenia twych oczu wyrok potępiający mnie na zawsze, z najgłębszą pokorą posłuchać gestu twej ręki, która mnie precz odtrącała od waszych stołów biesiadnych. Zwątpiłbym był w twą doskonałość, gdybyś była inaczej uczyniła. – Teraz czas mi powrócić do retorty, z której wyszedłem chybiony i nieudany. Idę do końca odcierpieć błąd Demiurga, który mnie stworzył.

Undulo, Undulo! Wnet i o tobie zapomnę, jasny śnie o tamtej krainie. Zbliża się ostatnia ciemność i ohyda retorty.

■

Lampa cedzi nudę i syczy swą monotonną piosenkę. Jest mi, jakbym piosenkę tę słyszał kiedyś bardzo dawno, gdzieś u początków życia, kiedym – chore i znużone niemowlę – kaprysił i marudził przez długie płaczące noce. Kto zawołał mnie wówczas i zawrócił, gdym omackiem szukał drogi powrotnej do matczynej pranicności?

Jak lampa kopci. Szare ramiona kandelabru wyrosły jak polip u sufitu. Cienie zmawiają się i szepczą. Bezgłośnie przebiegają karakony żółtą podłogę. Łóżko moje jest tak długie, że nie widzę przeciwległego końca. Niezawodnie jestem chory, ciężko chory. Jak gorzka jest i pełna ohydy droga do retorty.

Wtedy zaczęło się to. Te monotonne, jałowe dialogi z bólem znużyły mnie do cna. Spieram się z nim nieustannie, że mnie jako czystego intelektu on wcale nie dotyczy. – I w miarę jak wszystko inne coraz bardziej mąci się i gmatwa, czuję coraz wyraźniej, jak wydziela się on cierpiący ze mnie patrzącego. Ale zarazem czuję lekką łaskoczącą grozę.

Płomień lampy pali się coraz niżej i ciemniej. Cienie wyciągają swe żyrafie szyje aż pod sufit i chcą go ujrzyć; ale chowam go pieczołowicie pod pierzynę. Jest on jak mały bezkształtny embrion, bez twarzy, oczu i ust, i urodził się, żeby cierpieć. Z życia zna on tylko wszystkie kształty i dziwotwory cierpienia, które poznaje w głębi nocy, w jakiej jest pogrążony. Zmysły jego zwrócone są na wewnątrz i ujmują chciwie ból w jego wszystkich postaciach. On to wziął moje cierpienia na siebie. Czasem jest on tylko jakby duży pęcherz rybi, nadęty bólem, z gorącymi żyłkami na błonie, które cierpią.

Czemu płaczesz i kaprysisz bez ustanku przez całą noc? Jak mam ulżyć twoim cierpieniom, mały syneczku? Co mam zrobić z tobą, co począć? Wijesz się, dąsasz i krzyczysz, nie słyszysz i nie rozumiesz mowy ludzkiej, i dalej kaprysisz, i nucisz twój ból monotony przez całą noc. Teraz jesteś jak zwój pępowiny, skręcony i pulsujący...



Lampa musiała zgasnąć, podczas gdy zdrzemnąłem się. Jest ciemno i cicho. Nikt nie płacze. Nic nie boli. Gdzieś daleko, daleko w głębi ciemności, gdzieś za ścianą rynny gwarzą. Boże! to odwilż!... Przestrzenie strychowe huczą głucho, jak pudła ogromnych instrumentów muzycznych. W litej skale tej czarnej zimy musiała utworzyć się pierwsza rysa. Wielkie bryły ciemności rozluźniają się w ścianach nocy i kruszą. Ciemność leje się jak atrament pęknięciami zimy, bełkocze w rynnach i ściekach. Boże, wiosna idzie...

Tam na świecie miasto powoli wydobywa się z okowów ciemności. Odwilż wyłupuje dom za domem z tej kamiennej ściany ciemności. O, gdyby znów zasięgnąć piersiami ciemnego oddechu odwilży, o, gdyby uczuć na twarzy te czarne wilgotne płachty wiatru, lecące ulicami. Małe płomyki latarni na rogach ulic wsiąkają w knot i stają się błękitne, gdy przelatują koło nich te purpurowe płachty wiatru. O, gdyby wykraść się teraz i uciec, i zostawić go tu samego na zawsze z jego wieczystym bólem... Co za niskie pokusy podszeptujesz mi w ucho, ty wietrze odwilży? Lecz w jakiej stronie miasta może leżeć to mieszkanie? Dokąd wychodzi to okno, zabite okiennicą? Nie mogę sobie przypomnieć ulicy, przy której leżało mieszkanie mego dzieciństwa. O, gdyby tylko wyjrzeć przez okno, zasięgnąć tchnienia odwilży...

Marceli Weron, *Undula*, „Świt. Organ urzędników naftowych w Borysławiu” 1922, nr 25–26 (15 stycznia), s. 2–5. Opracował Piotr Sitkiewicz



Undula odwieczny ideał

1920–1922, cliché-verre, Biblioteka
Uniwersytetu Jagiellońskiego



Ławka

1921, 13×18,1 cm, cliché-verre, papier
Muzeum Narodowe w Warszawie



Undula u artystów

1920-1922, cliché-verre, Biblioteka
Uniwersytetu Jagiellońskiego



Undula idzie w noc
ok. 1920, cliché-verre, Biblioteka
Uniwersytetu Jagiellońskiego